

Jest taki moment w każdej publicznej awanturze, w którym przestaje chodzić o sprawę. Nikt już nie pamięta, czy spór dotyczył wycinki drzew, budżetu obywatelskiego, przetargu na autobusy czy nowej organizacji ruchu w centrum. Zostaje tylko twarz. Konkretna, ludzka twarz, na którą można zrzucić wszystko, co się w człowieku przez tydzień naczierało.

Historia z Gdyni jest tego przypadkiem granicznym. W dwóch tylnych kołach samochodu prezydent miasta stwierdzono poluzowane śruby. Za kierownicą siedział jej mąż, z tyłu troje dzieci, a auto jechało też autostradą, zanim straciło koło. Nikomu nic się nie stało. Czy było to celowe działanie, ustali policja – i nikt poza nią nie ma prawa tego przesądzać.

Ale nie trzeba znać wyniku śledztwa, żeby zobaczyć, w jakim miejscu jesteśmy. Wystarczy zauważyć, że taka hipoteza w ogóle brzmi dziś wiarygodnie. Że nikogo nie zdziwiła. Że przeszła przez opinię publiczną jak kolejna informacja z paska wiadomości, między prognozą pogody a wynikami ligi. Dziesięć lat temu myśl, że komuś można poluzować śruby w kole za decyzję administracyjną, byłaby scenariuszem z podrzędnego thrillera. Dziś jest wersją roboczą, którą traktujemy poważnie.

To jest właściwa miara upadku. Nie pojedynczy czyn, lecz oswojenie z jego możliwością.

Doszliśmy tu drogą, którą każdy z nas przeszedł kawałek. Najpierw zniknął błąd. Urzędnik przestał się mylić – zaczął "działać przeciwko ludziom". Radny przestał mieć inne zdanie – zaczął "sprzedawać mieszkańców". Prezydent miasta przestał podejmować kontrowersyjne decyzje – zaczął "niszczyć miasto". Język wojenny wszedł do opisu spraw absolutnie pokojowych jak np. harmonogramu remontów, stawki za wodę, lokalizacji przedszkola.

Potem zniknęła osoba. Bo człowieka trzeba by wysłuchać, a symbol wystarczy zniszczyć. Awatar obcego obozu nie ma zmęczenia, chorego rodzica ani dzieci wożonych rano do szkoły. Awatar nie ma prawa do bezpiecznego powrotu do domu, bo nie wraca do żadnego domu – istnieje wyłącznie w cudzym kanale, między jednym a drugim komentarzem.

A skoro nie ma osoby, to nie ma też granicy. Zostaje tylko pytanie, jak daleko można się posunąć, i coraz mniej powodów, żeby nie sprawdzić.

Nie, to nie jest wina internetu. Internet nie odkręca śrub. Sieć potrafi natomiast miesiącami utwierdzać kogoś w przekonaniu, że po drugiej stronie nie ma nikogo, komu należałaby się zwykła ludzka przyzwoitość. Reszta dzieje się offline, kluczem nasadowym.

Teraz część, o której mówi się najrzadziej, a która jest najbardziej praktyczna. Zapytajmy sami siebie, tak na chłodno: kto w takich warunkach będzie chciał rządzić miastem?

Bo samorząd to nie hotel, tylko ekspozycja. Prezydent średniego miasta mieszka pod znanym adresem, robi zakupy w tym samym markecie co wyborcy, odbiera dzieci z tej samej szkoły i staje w tym samym korku, który sam zaprojektował. Ta bliskość była zawsze największym atutem polskiej samorządności – i jej jedynym zabezpieczeniem przed arogancją. Włodarz, którego można zaczepić przy piekarni, ma zupełnie inną perspektywę niż minister za trzema recepcjami.

Właśnie tę bliskość likwidujemy. Nie ustawą, nie reformą ustrojową – po prostu podnosząc cenę wejścia.

Zastanówmy się, kto tę cenę zapłaci. Na pewno nie kompetentna dyrektorka szkoły z dwójką dzieci. Nie

inżynier, który dobrze zna sieć wodociągową i mógłby uporządkować gospodarkę komunalną. Nie działaczka społeczna, którą sąsiedzi namawiają na start w wyborach. Oni policzą ryzyko i powiedzą: nie za te pieniądze, nie za tę cenę, nie kosztem rodziny. I będą mieli rację.

Zostaną ci, dla których ta cena nie jest ceną. Ludzie z zapleczem, z ochroną i z otoczeniem lojalnym aż do granicy absurdu. Tacy, którzy nie mieszkają pod znanym adresem, tylko za bramą z domofonem i kamerą. Którzy nie odbierają telefonu od mieszkańca, bo od tego mają rzecznika. Którzy nie wchodzi do ratusza wejściem głównym.

Wyobraźmy sobie miasto zarządzane przez taką figurę: lokalnego udziałowego pana z dworem, otoczonego kordonem ludzi żyjących z jego łaski, niedostępnego dla zwykłego wyborcy, załatwiającego sprawy nie na sesji rady, lecz w gronie zaufanych. Kogoś, kto samorząd traktuje jak dziedziczne włości, a mieszkańców jak poddanych, którym od czasu do czasu należy się festyn. Kogoś, kogo nie sposób ani spotkać, ani zapytać, ani rozliczyć – bo jest za szybą, za bramą, za ochroniarzem i za trzema pośrednikami.

I teraz najgorsze. To nie będzie skutek uboczny nagonki. To będzie jej bezpośredni produkt.

Bo jeśli warunkiem uprawiania polityki lokalnej stanie się odporność na groźby, to wygrają ludzie odporni na groźby. A odporność na groźby wygląda dokładnie tak: zamknięcie, dystans, świta, twierdza. Ci sami, którzy dziś krzyczą najgłośniejsze o "układach w ratuszu", własnymi rękami wyprodukują władzę, która naprawdę będzie nie do ruszenia. Zaszczuwanie przyzwoitych to najskuteczniejsza znana metoda promowania nieprzyzwoitych.

Nie chodzi o to, żeby politykom odpuścić. Wręcz przeciwnie. Aleksandrę Kosiorek – jak każdego samorządowca w tym kraju – można krytykować, punktować jej decyzje, rozliczać z obietnic, protestować pod urzędem, składać wnioski o informację publiczną i przy najbliższych wyborach odebrać jej stanowisko. To nie jest przywilej obywatela, to jego robota. Demokracja nie obiecuje władzy świętego spokoju.

Obiecuje jej natomiast, że rozliczenie odbędzie się przy urnie, a nie przy kole samochodu. I że dzieci wożone rano do szkoły nie są stroną sporu.

Że przemoc jest zła nawet wtedy, gdy dotyka kogoś, kogo nie lubimy – to nie jest teza wymagająca obrony. A jednak dziś wymaga. Trzeba się dziś tłumaczyć z odruchu, który kiedyś nie potrzebował uzasadnienia. Nie trzeba na kogoś głosować, żeby sprzeciwiać się jego skrzywdzeniu. Nie trzeba go lubić, żeby uznać jego prawo do bezpieczeństwa. Kto tej różnicy nie widzi, nie jest bezkompromisowy. Po prostu zgubił drogę.

Poczekajmy więc na ustalenia policji – i przyjmijmy je, jakiekolwiek będą. Jeśli okaże się, że to awaria, powiedzmy to głośno i bez żalu. Jeśli okaże się, że ktoś przy tych śrubach majstrował, niech odpowie za to, co mogło się stać, a nie za to, co się nie stało.

Ale jedno wiemy już dziś, niezależnie od wyniku. Kto zamienia różnicę zdań w wyrok na człowieka, dokłada pół obrotu do tej samej śruby. I któregoś dnia zdziwi się, że miastem rządzi ktoś, do kogo nie da się już podejść.